

KTO ZYSKUJE, A KTO TRACI NA GLOBALIZACJI?

Globalizacja nie jest w sensie aksjologicznym jednoznaczna. Nie można jej traktować ani jako początku zbawienia ludzkości, ani jako cywilizacyjnego kataklizmu, tym straszniejszego, jeśli nieuniknionego. Proces ten niesie z sobą zarówno szanse, jak i zagrożenie – choć wydaje się, że szanse te oraz możliwości ich wykorzystania inaczej się kształtują w płaszczyźnie ekonomiczno-politycznej, inaczej zaś w kulturalnej.

Kto zyskuje, kto zaś traci na globalizacji? By na to pytanie odpowiedzieć, by rozważyć zwłaszcza, jak się do niej powinny odnieść katolickie środowiska akademickie, trzeba oczywiście najpierw powiedzieć, jak się samą globalizację rozumie. O jej krótkie, jasne i w miarę pełne określenie nie jest zaś łatwo – a to co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, globalizacja – niezależnie od tego, co by jeszcze o niej należało powiedzieć – jest procesem, który dokonuje się dziś, na naszych oczach. Brak nam więc poznawczego dystansu, tak potrzebnego, by w miarę obiektywnie spojrzeć na poddaną analizie rzeczywistość. Nie wiemy nawet, jak w dalszym ciągu proces ów będzie przebiegał, jakie nowe oblicze odśłoni. Po drugie zaś, jest to niewątpliwie proces złożony, angażujący różne dziedziny życia społecznego; proces, który – jak sugeruje sama jego nazwa – obejmuje cały świat, podważając lub wręcz obalając wiele w miarę dobrze dotąd funkcjonujących struktur społecznych. Mówiąc to, daję jednak wyraz także temu, że dysponuję pewnym wstępnym pojęciem globalizacji. Rozumiem przez nią właśnie kompleks wielorakich i głębokich przemian życia społecznego, wykraczających poza zakres lokalny, obejmujący cały ziemski glob. W pierwszej części rozważań proponuję zwrócić uwagę na to, co generuje globalizację i wyznacza zasadnicze kierunki jej dynamiki. W oparciu o taką charakterystykę będzie można dopiero zapytać, kto i dlaczego na globalizacji zyskuje, kto zaś raczej traci. Warto też zastanowić się, czy i jak na proces globalizacji winny reagować środowiska akademickie, zwłaszcza uczelnie katolickie.

WSTĘPNA CHARAKTERYSTYKA GLOBALIZACJI

Godząc się na nieuniknione uproszczenia, można powiedzieć, że motorem generującym złożony i dalekosiężny proces globalizacji jest przede wszystkim,

jak się wydaje, r e w o l u c j a i n f o r m a t y c z n a. Dzięki postępowi naukowo-technicznemu ostatnich dziesiątków lat gwałtownie zwiększyła się „produkcja informacji” najróżniejszego rodzaju, są one też łatwo dostępne i szybko można z nich korzystać. Ogromne nakłady codziennych tytułów prasowych, sieć stacji radiowych ogarniająca cały świat, trwająca od lat ofensywa telewizji, kariera telefonów komórkowych, nade wszystko zaś gwałtowny rozwój komunikacji internetowej – oto pewne tylko osiągnięcia, do których tak już przywykliśmy, że zapominamy, jak niedawno zostały one dokonane. Za ich sprawą, dosłownie na naszych oczach, kurczą się czas i przestrzeń, w których żyjemy, zanika kiedyś oczywista i narzucająca się z wielką ostrością różnica między perspektywą lokalną a globalną. Coraz łatwiejszy dostęp do coraz większej masy informacji na ogół nas cieszy, a nawet fascynuje, a chociaż niekiedy sprawia kłopot i denerwuje, trudno nam uświadomić sobie jego różnorodne i dalekosiężne skutki. Mam na myśli skutki powszechnego dostępu do informacji głównie w trzech płaszczyznach: ekonomicznej, politycznej i kulturalnej. Płaszczyzny te dla porządku rozważań trzeba odróżnić, pamiętając wszakże, iż ściśle się one ze sobą łączą i wzajem się warunkują.

W płaszczyźnie e k o n o m i c z n e j łatwość dostępu do informacji i szybkość komunikacji stwarzają szansę szybkiego i jakościowo nowego rozwoju gospodarczego. W pewnym sensie kapitalizm z natury swej zmierza do monopolizowania gospodarki. Rynek zdobywają te firmy, które oferują produkt najlepszy i najtańszy zarazem, koszt zaś produkcji maleje wprost proporcjonalnie do ilości produkowanego towaru; wielkie firmy stać z kolei na sprawniejsze działania, zmierzające do jego udoskonalenia. Taką tendencję do rozrastania się jednych firm kosztem innych, mniejszych i niezdolnych wytrzymać rywalizacji na rynku, obserwować można co najmniej od czasu założenia pierwszych fabryk, od zarania kapitalizmu. Rewolucja informatyczna proces ten jednak bardzo nasiliła. Dzięki niej łatwiej tworzyć przedsiębiorstwa o zasięgu ponadpaństwowym, tworzyć korporacje dysponujące ogromnym i coraz większym kapitałem, coraz sprawniej zaspokajać potrzeby rynku.

Proces ten niesie z sobą jednak także niemałe zagrożenia. Dotąd przedsiębiorca musiał liczyć się z warunkami społecznymi, w jakich jego firma miała funkcjonować: musiał brać pod uwagę zastane struktury społeczne, dbać o zamobność „swojej” społeczności, uwzględniać jej specyficzne potrzeby, uczestniczyć w rozwiązywaniu jej problemów. Takie wpisywanie się w życie społeczności lokalnej leżało w dobrze pojętym interesie biznesmena: jej bezpieczeństwo i dobrobyt napędzały także jego koniunkturę. Globalizacja odcina inwestora i przedsiębiorcę od tych społecznych powiązań. W razie jakiegokolwiek kryzysu przenosi on po prostu swoją aktywność na teren bardziej dla siebie dogodny i opłacalny, nie ponosząc przy tym żadnych społecznych konsekwencji takiej przeprowadzki (takich, jak np. wzrost bezrobocia czy wypływ kapitału). Łatwość uzyskania niezbędnych informacji o tym, gdzie najkorzystniej

dokonać inwestycji, w połączeniu z osiągniętym dziś poziomem technologii oraz szybkością transportu, sprawia, że przemieszczenie w krótkim czasie całej firmy na drugi koniec świata nie następuje większych trudności. Oplącalne okazuje się często znalezienie w jednym końcu świata taniej siły roboczej, w innym koniecznych materiałów, a w jeszcze innym rynków zbytu, przy czym pojęcie „centrali decyzyjnej” przestaje mieć znaczenie. Tworzy się nowa elita społeczna, eksterytorialna i ponadpaństwowa, coraz wyraźniej wyodrębniająca się z „reszty społeczeństwa”, dysponująca potężnym kapitałem, uprawiająca własną politykę; elita, której nie mogą ignorować władze poszczególnych państw. Wbrew powtarzanym często opiniom, globalizacja automatycznie więc nie pociąga za sobą zniwelowania społecznych różnic, oznacza raczej wytworzenie nowych społecznych podziałów. Nie ograniczają się one, oczywiście, do relacji: „nowa elita ekonomiczna – zwykli śmiertelnicy”, ale niewątpliwie ta nowa elita jest jednym z ważniejszych „produktów” globalizacji.

Globalizacja w dziedzinie gospodarczej pociąga za sobą nieuchronne przemiany *p o l i t y c z n e*. Powiązania bankowe, inwestycyjne, handlowe, ekologiczne, a także militarne, które przekraczają granice państw, sprawiają, że nie tylko koncepcje autarkii, ale również ściśle pojętej suwerenności, a w coraz większym stopniu nawet tak zwanego zrównoważonego bilansu gospodarki narodowej, trzeba uznać za przestarzałe. Do roku 1989, a więc do upadku komunizmu, dwudziestowieczny świat wyraźnie był jeszcze naznaczony podziałem polityczno-ideologicznym. Objęty był nim także tak zwany „trzeci świat”, stanowiący arenę walki wpływów pomiędzy „kapitalistycznym” Zachodem a „socjalistycznym” Wschodem. Powiązania militarno-ekonomiczne wewnątrz tych „obozów” miały – przynajmniej oficjalnie – swoje polityczne usprawiedliwienie. W ostatniej dekadzie jednak sytuacja się zmieniła. Pozostaje, a nawet wzrasta dystans pomiędzy bogatą Północą a biednym Południem. Mechanizmy gospodarki rynkowej, jak dotąd, raczej pogłębiają ten podział, niż pomagają go przezwyciężyć. Państwa pozostające w obrębie Północy natomiast dążą do coraz ściślejszych wzajemnych powiązań. Motywy skłaniające Północ do silniejszych związków mają przede wszystkim charakter ekonomiczny. Jednoczenie się państw przebiega w pewnym sensie podobnie do fuzji przedsiębiorstw: pomnaża się wspólny potencjał ekonomiczny, polityczny i kulturowy, do którego dostęp mają wszystkie kraje i wszyscy ich obywatele, ale ceną tego jest konieczność daleko posuniętego ujednolicenia podstawowych zasad życia społecznego. Powstanie i rozwój Unii Europejskiej są tu szczególnie dobrym przykładem. Kraje takie, jak Węgry i Polska, pragną wejść do Unii, i to możliwie najszybciej, widzą w niej bowiem – i słusznie – szansę swego rozwoju gospodarczego, a także promocji społecznej i kulturalnej. Aby jednak wejść do Unii, trzeba dokonać przekształcenia tych struktur życia społecznego, które nie odpowiadają standardom Unii; przekształcenia głębokiego, modyfikującego po-

rządek prawny poszczególnych państw, strukturę i dynamikę gospodarki, a nawet styl życia obywateli i panujące obyczaje.

Efektom globalizacji na płaszczyźnie politycznej jest oczywiście wzrost znaczenia organizacji międzynarodowych, w obrębie których można wprowadzić jeszcze odróżnić „liderów” od „outsiderów”, ale różnice te stopniowo zanikają w miarę dopracowywania się coraz doskonalszych mechanizmów międzynarodowej wymiany i zależności. Niektórzy analitycy procesu globalizacji przestrzegają jednak przed utożsamianiem jej z uniwersalizacją. O ile ta ostatnia polega na planowanym – i w tym sensie racjonalnym – upowszechnianiu określonych idei, o tyle globalizacja ma charakter znacznie bardziej „dziki”. Owszem, rządzi się ona prawami ekonomii, ale z powodu swego złożonego charakteru, zależności od trudnych do przewidzenia zdarzeń w sferze ekonomicznej, politycznej i kulturowej, a także dlatego, że nie kieruje nią żadna odgórna idea (co najwyżej dążenie do bogacenia się i wygody, określane przez Z. Brzezińskiego mianem „kornukopii”), globalizacja obejmuje mnogość zjawisk i tendencji, którym świat jest poddany w sposób niekontrolowany i nieplanowany. Roli „strategów świata” nie przyjmują w szczególności rządzący państwem politycy, zależni od doraźnych i kapryśnych upodobań swych wyborców, a także od wspomnianej wcześniej elity inwestorów-biznesmenów, koncentrujących w swoich rękach faktyczną, choć ukrytą, władzę.

Po trzecie wreszcie, wspomniane „skrócenie dystansu” przestrzennego i czasowego, spowodowane (a przynajmniej przyspieszone) rewolucją informatyczną, wywołuje znaczące skutki k u l t u r o w e. Mają one związek z globalizacją w wymiarze politycznym (podobnie jak ta ostatnia wynika w znacznej mierze z ekonomicznej), ale globalizacja kulturowa wiąże się także bezpośrednio z rewolucją informatyczną i na tych relacjach zatrzymam uwagę. Niektóre następstwa kulturowe tej rewolucji są oczywiste i zdają się oczywiście korzystne. Dialog zawsze służy kulturze – to wręcz banał – a z kolei dialog kulturowy opiera się na wzajemnej komunikacji kultur, a tym jest ciekawszy, im ta komunikacja jest żywsza i treściowo bogatsza. Dzieje kultur poszczególnych narodów z reguły pokazują, że kultury te są bogate szczególnie na swoich obrzeżach: w miejscu styku różnych tradycji, religii, obyczajów – o ile tylko styk ten zbyt szybko nie wywołuje konfliktów prowadzących do nienawiści i wojny, czego – niestety – przykładów można wskazać również wiele. Środki masowego przekazu i internet bardzo szeroko otwierają okno na kultury dotąd nieznanne – i czynią to na ogół pokojowo, zachęcają do przyswojenia wielu obcych dotąd symboli i wzorców myślenia, rozszerzają horyzonty myślowe odbiorców, ułatwiają osobiste kontakty z przedstawicielami odległych krajów i kultur. Inspiracyjna, kulturotwórcza rola mediów jest ogromna – i jeśli nie zatrzymuję się dłużej na jej analizie, to tylko dlatego, że jej wartość jest oczywista.

Równie znane są i równie często przywoływane jednak zagrożenia płynące z obfitego zalewu informacji, którymi bombardują nas prasa, radio, telewizja

i internet. Przede wszystkim ta ogromna masa nieustannie napływających wiadomości nie ułatwia odbiorcy *m y ś l e n i a*, utrudnia bowiem osiągnięcie wewnętrznego spokoju, zatrzymanie się, uzyskanie niezbędnego dystansu do tego, nad czym człowiek dokonuje intelektualnej refleksji. Myślenie utrudnione jest często także przez formę przekazu. Dziennikarze (używam tu tego terminu w szerokim sensie) osiągają perfekcję w takim redagowaniu informacji, aby miała ona postać małej i lekkostrawnej „pigułki”, która zresztą chętnie jest „połykana” przez wielu wygodnych odbiorców. Nie muszę podkreślać, jak bardzo ta forma przekazu sprzyja manipulacji poglądami odbiorcy. Otrzymuje on zwięzły, a zatem najczęściej uproszczony obraz faktów lub zdarzeń, podany w sposób, który bardziej lub mniej natarczywie sugeruje zajęcie wobec nich określonej postawy.

Jedną z postaw preferowanych przez dziennikarzy jest *t o l e r a n c j a*. W tym miejscu dotykamy innej dyskusyjnej konsekwencji zalewu informacji. Tradycyjnie rozumiany „pogląd” cechuje się elementarną racjonalnością, co oznacza, że jego poznawcza wartość zależy od stojących za nim argumentów. Uznanie przy tym jakiegoś poglądu za słuszny pociąga za sobą odrzucenie poglądów z nim sprzecznych. Zbyt rygorystyczne przestrzeganie racjonalności poglądów może jednak skłaniać do niekorzystnej z punktu widzenia nadawcy (zainteresowanego tym, by przekazywać jak najwięcej wiadomości i opinii, w jak najbardziej atrakcyjnej formie) selektywności w przyjmowaniu informacji i opinii. Nacisk na akceptującą wszystko (z wyjątkiem nietolerancji) tolerancję prostą drogą prowadzi do promocji swoistego, podszytego irracjonalizmem *r e l a t y w i z m u*, czyli do postawy akceptującej fakt, że wszelkie poglądy mają jakieś uzasadnienie, zwykły śmiertelnik natomiast nie jest w stanie wnikać w skomplikowane niuanse kulturowych opcji, leżących u podłoża poszczególnych opinii. Śmiertelnik ten może jednak im się przyjrzeć i wybrać, co mu się podoba. Poglądy przedstawiane są w pewnym sensie jak towary w sklepie: tak, jak możesz lubić jeden rodzaj sera lub wina, a odrzucać inne, tak możesz zaakceptować religię, która ci odpowiada (jeśli w ogóle którakolwiek ci odpowiada). Podobnie ma się rzecz z poglądami filozoficznymi i etycznymi czy też poglądami w kwestiach dotyczących obyczajów. Miejsce prawdy jako kryterium uznawania poglądów zajmuje swoiście pojęta „opcja estetyczna”. Dialog kulturowy jest w tej sytuacji niemożliwy. Dialog bowiem podjąć może ten, kto opowiada się za tym, co uznał z jakichś racji za prawdziwe i wartościowe. Wypowiada on wówczas swoje widzenie rzeczywistości, które jest dostatecznie komunikatywne i interesujące – ale też dostatecznie opozycyjne wobec odmiennych ujęć tych samych problemów – by zatrzymało uwagę innych i mogło ich ubogacić. Tam, gdzie poglądy są pozorne, gdzie miejsce prawdy zajmują inne kryteria uznawalności twierdzeń i opinii, tam miejsce inspirującego dialogu kulturotwórczego zajmują moda i płytkie naśladownictwo tanich wzorców zachowań. Tam globalizacja faktycznie oznacza wykorzenienie z kultury.

GLOBALIZACJA – SZANSA NIE DLA WSZYSTKICH RÓWNA

Powyższa charakterystyka globalizacji jest bardzo niepełna, ale już ona pozwala na dwie ważne dla dalszych rozważań konstatacje. Po pierwsze, globalizacja to proces, który obecnie ogarnia cały świat, nasila się, w coraz większym stopniu nas dotyczy - i nie da się go zatrzymać ani uniknąć. Co więcej, mamy raczej nikły bezpośredni wpływ na jego przebieg, przynajmniej w krótkiej skali czasowej. Decydują o tym wspomniane atuty ekonomiczne, które uzyskują swoiste „polityczne wzmocnienie” przez to, że świat jest dziś wolny od głębokich podziałów ideologiczno-politycznych, jakie mogłyby blokować zasięg globalizacji. Oczywiście, nadal istnieje, może nawet potęguje się, ekonomiczny podział „bogata Północ – biedne Południe”. Globalizacja nie obejmuje więc w taki sam sposób obu tych „światów” (co już pozwala zorientować się, kto na globalizacji wygrywa, a kto przegrywa), nie jest jednak tak, by ograniczała się ona tylko do cywilizacji euroatlantyckiej. Jeśli biedne Południe nadal biednieje, to jest to między innymi wynikiem mechanizmów ekonomicznych, które wprawdzie nie są rezultatem globalizacji, ale zostały przez nią bardzo wzmocnione. Także w płaszczyźnie kulturowej globalizacja jest nieunikniona. Rzec można, że ciekawość świata jest w człowieku zbyt silna, by mógł on – w skali statystycznie znaczącej – zrezygnować z łatwo dostępnej wiedzy lub też ze stosowania technik, które tę wiedzę czynią łatwo dostępną. Dodajmy, że panujący w świecie względny pokój oraz kariera ustrojów demokratycznych wydatnie wspomagają globalizację w płaszczyźnie kulturowej i odwrotnie (temat ten zasługuje na osobną analizę).

Po drugie, globalizacja nie jest w sensie aksjologicznym jednoznaczna. Nie można jej traktować ani jako początku zbawienia ludzkości, ani jako cywilizacyjnego kataklizmu, tym straszniejszego, jeśli nieuniknionego. Proces ten niesie z sobą zarówno szanse, jak i zagrożenie – choć wydaje się, że szanse te oraz możliwości ich wykorzystania inaczej się kształtują w płaszczyźnie ekonomiczno-politycznej, inaczej zaś w kulturalnej.

W płaszczyźnie ekonomicznej i politycznej (które traktuję łącznie z racji ich głębokiego powiązania, o czym była mowa w poprzednim paragrafie) panuje – by tak rzec – wyraźniejszy determinizm niż w płaszczyźnie kulturalnej. Determinizm ten wynika z twardych reguł gry ekonomicznej. Wyraźniej też niż w przypadku determinizmu kulturalnego można wskazać na te warstwy społeczne lub kraje, które nie tylko przegrywają na globalizacji, ale wydają się wręcz na tę porażkę skazane – i w tym sensie stanowią ofiary niesprawiedliwych układów ekonomiczno-politycznych, które globalizacja przejęła z „imperialistycznych” (jak się kiedyś mówiło) tradycji, a które następnie utrwała i potęguje. „Wygrywa” więc – w sensie ekonomicznym – wąska elita bogatych inwestorów, usytuowanych w eksterytorialnej „cyberprzestrzeni”, wolnych od ograniczeń i zobowiązań lokalnych, zdobywających coraz większe wpływy

polityczne, gromadzących coraz większy procent zasobów tego świata, które tylko z pozoru mają służyć polepszeniu doli biednych. Przypomnijmy, że „majątek 358 najbogatszych miliarderów świata wynosi tyle, ile łączne dochody 2,3 miliarda najbiedniejszych (45 % ludności świata)”¹. Jedynie 22% światowego majątku należy do tak zwanych krajów rozwijających się, w których mieszka 80% ludności świata. Określenie „kraje rozwijające się” uznać przy tym trzeba za dość cyniczny eufemizm, jeśli zważyć, że przypadająca na najbiedniejszych część dochodu światowego ciągle maleje. Trzydzieści lat temu najbiedniejsze kraje świata (które zamieszkuje 20% ogółu ludności) były w posiadaniu zaledwie 2,3% światowych bogactw. Dziś ten skandalicznie niski wskaźnik spadł do 1,4%. Z ekspertyz Instytutu Badań Politycznych w Waszyngtonie dowiadujemy się, że: „technika nie ma wpływu na życie najbiedniejszych mieszkańców świata. Globalizacja jest w rzeczywistości paradoksem: przynosząc wielkie korzyści nielicznym, wyklucza lub marginalizuje dwie trzecie ludności świata”². Nie jest jednak tak, że biedne kraje znajdują się w tym stanie z własnej winy lub z własnego (ideologicznego? religijnego?) wyboru. Takie mity propagowane są nierzadko przez mass media, stosujące w tym celu swoiste techniki informacyjne³. Mity te, trzeba przyznać, skutecznie usypiają wyrzuty sumienia przeciętnych czytelników gazet i telewidzów w krajach bogatych. Nie czas w tym miejscu na szczegółową analizę zależności pomiędzy bogaceniem się coraz bogatszych i ubożeniem coraz uboższych, wspomnijmy więc tylko, że prowadzący do niebotycznych zadłużeń system wysoko oprocentowanych pożyczek bankowych, likwidacja miejsc pracy, wykorzystywanie taniej i niewykwalifikowanej siły roboczej, stałe dozbrajanie walczących stron i podsycanie lokalnych konfliktów w krajach trzeciego świata – to tylko wybrane czynniki, które wpisane są w proces globalizacji gospodarczej i powiększają dystans dzielący kraje bogate i biedne.

Na globalizacji przegrywają nie tylko biedne, słabe ekonomicznie państwa, przegrywają po prostu słabi. Mechanizm wykorzystywania krajów żyjących w nędzy przez państwa bogate dostrzec można – choć w innej postaci – w życiu społecznym samych państw bogatych. Robotnicy tworzą wprawdzie związki zawodowe, ale zbyt silna ich pozycja (to znaczy: zbyt kosztowna praca robotników) obraca się w dłuższej czasowej perspektywie na ich szkodę, gdyż kapitał przemieszcza się tam, gdzie warunki dla biznesmenów są korzystniejsze (czyli tam, gdzie tańsza jest praca). Rosnące bezrobocie sprawia, że coraz trudniej rozwiązać problem robotników pracujących „na czarno” czy na przykład pracowników w supermarketach, bez szemrania akceptujących urągające wszel-

¹ Cyt. za: Z. B a u m a n, *Globalizacja. I co z tego dla ludzi wynika*, Warszawa 2000, s. 85.

² G. B a l l s, M. J e n k i n s, „*Too much for them, not enough for us*”, „*The Independent*” z 21 VII 1996. Cyt. za: B a u m a n, dz. cyt., s. 86.

³ Por. R. K a p u ś c i ń s k i, *Lapidarium III*, Warszawa 1996.

kim wymogom higienicznym i humanitarnym warunki pracy. Równy dostęp do wykształcenia i kariery politycznej jest raczej pobożnym życzeniem niż rzeczywistością. Co ważniejsze jednak, globalizacja sprzyja tworzeniu społeczeństwa konsumpcyjnego. W określeniu tym nie jest ważne jedynie to, że producent potrzebuje konsumenta, aby sprzedać swoje towary. Ta oczywista zależność nie jest wymysłem globalizacji. O ile jednak w początkach kapitalizmu chodziło o masową i taną produkcję elementarnych dóbr, których niedostatek utrudniał realizację jakichś ponadkonsumpcyjnych celów, o tyle dziś mamy do czynienia ze swoistą ideologią konsumpcji. Służy ona utrwaleniu przeświadczenia, że konsumpcja jest celem ludzkiego życia, że *ż y j e s i ę d l a k o n s u m p c j i*, której rozmiary są sztucznie, ale bardzo skutecznie rozdymane przy zastosowaniu odpowiednich technik socjologiczno-psychologicznych. Tak oto ludziom wmawia się, że zwyciężają w procesie globalizacji, ponieważ są szczęśliwymi nabywcami dóbr, których posiadanie stanowi spełnienie ich najwyższych aspiracji. Braku tych dóbr nawet by sobie nie uświadamiali, gdyby nie profesjonalna i uczynna działalność speców od reklamy.

Przedstawione tu krytyczne opinie mogą się wydać nieco zbyt surowe, pragnę jednak zwrócić uwagę, że w gruncie rzeczy odnoszą się one do pewnych niedomogów samego kapitalizmu, a globalizacji dotyczą o tyle, o ile sprzyja ona wzmocnieniu tych niedomogów, czasem jedynie nadając im nową postać. Godzi się w związku z tym przypomnieć, że Kościół nigdy nie zaakceptował kapitalizmu *tout court*. W encyklice *Centesimus annus* papież Jan Paweł II przyznaje, że godzien aprobaty jest kapitalizm rozumiany jako „system ekonomiczny, który uznaje zasadniczą i pozytywną rolę przedsiębiorstwa, rynku, własności prywatnej i wynikającej z niej odpowiedzialności za środki produkcji oraz wolnej ludzkiej inicjatywy w dziedzinie gospodarczej”⁴. Zastrzega jednak, że nie do zaaprobowania jest kapitalizm, o ile w imię absolutyzowanej wolności ekonomicznej zgadza się on na niesprawiedliwość społeczną i sprowadza człowieka oraz jego powołanie wyłącznie do sfery konsumpcyjnych potrzeb⁵.

Jak wspomniałem, w wymiarze kulturowym globalizacja nie „produkuje” tak wyraźnie zwycięzców i przegranych, jak dzieje się to w płaszczyźnie ekonomiczno-politycznej. Chociaż techniki manipulacyjne, kształtujące ludzkie sądy, upodobania i potrzeby, bardzo się rozwinęły (przykładem są wspomniane sposoby kształtowania społeczeństwa konsumpcyjnego), to jednak nie pozbawiają one człowieka możliwości selektywnego korzystania z mnogości dostępnych mu informacji i komunikatów, nie zmuszają go do bezmyślnego akceptowania narzucanych mu wzorców myślenia i zachowania ani do ulegania pokusie relatywizmu. Co więcej, pluralistyczne bogactwo opcji politycznych, ideowych czy religijnych może stanowić pożyteczną prowokację, która niejako

⁴ J a n P a w e ł I I, Encyklika *Centesimus annus*, nr 42.

⁵ Por. tamże, rozdz. IV (nry 30-43).

zmusza odbiorcę, by skonfrontował różne opinie i argumenty, przytaczane w różnych czasopismach lub w różnych programach telewizyjnych. niesprawiedliwe byłoby również dla pluralistycznej kultury pominięcie publikacji, audycji i filmów ambitnych, wykraczających poza łatwe stereotypy ocen i zachowań w społeczeństwie konsumpcyjnym. „Konsument” dóbr kulturowych – zwłaszcza zamieszkujący kraje bogate – ma wiele możliwości duchowego ubogacenia się, a konkurencja na rynku pracy pobudza go do zdobycia wykształcenia, które dziś przybiera coraz to nowe i coraz powszechniej dostępne formy. Mimo różnorodnych ograniczeń ekonomiczno-politycznych, o których była już mowa, wydaje się, że w dziedzinie kultury globalizacja daje niemałą szansę rozwoju ludziom ambitnym i zdolnym. Media, przybliżając wydarzenia z odległych rejonów świata, obyczaje, a także dramaty mieszkańców innych krajów, zbliżają wzajem ludzi, pomagają dostrzec to, co jest im wspólne i w nich fascynujące, przyczyniają się do międzyludzkiej solidarności. Odgrywają też one niemałą rolę w usuwaniu niesprawiedliwości i piętnowaniu nieprawości. Dziennikarze i media nie tylko tropią przestępstwa, ważniejsze jest to, że ryzyko ujawnienia przestępstw stanowi dość skuteczną zaporę, powstrzymującą wielu potencjalnych przestępców (zwłaszcza politycznych) przed dokonaniem karygodnych czynów.

Wygrywają więc ambitni, zdolni, szybko reagujący. Kto zaś przegrywa? Odpowiedź, że przegrywają bierni, mało zdolni i nieelastyczni życiowo, byłaby zbyt mechaniczna i mało wnikliwa. Człowiek wprawdzie jest wolny i uczyni ze swą wolnością, co zechce – ważne jest jednak, czy i jak dogodnie dano mu warunki, by z wolności uczynił dobry użytek. Jak już wspomniałem, globalizacja – ogólnie rzecz biorąc – wiele w tym nie pomaga. Duża liczba komunikatów i sposób ich prezentowania sprzyjają bezmyślności, biernemu akceptowaniu narzuconych z góry (przez media) wzorców myślenia i zachowania, relatywizmowi aksjologicznemu i religijnemu. Wyrzuty czynione nadawcom informacji wydają się przy tym mało skutecznym moralizowaniem. Od dziennikarzy można i trzeba wymagać respektowania elementarnych zasad etyki zawodowej, pamiętać jednak należy, że kontekst społeczno-ekonomiczny zmusza ich do takiego redagowania komunikatów, reportaży i innych tekstów, które są społecznie (statystycznie) preferowane. Rozwiązania trudności i zagrożeń związanych z globalizacją trzeba szukać gdzie indziej. Należy szukać ich w pytaniu o instytucje, które pomagają obronić się przed zagrożeniami stwarzanymi przez globalizację, a szanse, które niesie ze sobą, wygrać.

Właśnie w kontekście szans procesu globalizacji pojawia się kwestia roli państwa, Kościoła, szkół, uniwersytetów oraz innych instytucji wspomagających rozwój człowieka. We współczesnym, wysoko zorganizowanym społeczeństwie te właśnie instytucje – każda na swój sposób – powinny podejmować wysiłek wspomagania człowieka w takim korzystaniu z dobrodziejstw infromacyjnej rewolucji, by służyła ona raczej jego rozwojowi niż duchowemu wyja-

łowieniu. Kościół kładzie nacisk przede wszystkim na to, aby w złożonych mechanizmach globalizacji nie został zagubiony sam człowiek. Jest rzeczą znaną, że ostatni rozdział wcześniej cytowanej encykliki *Centesimus annus* nosi tytuł „Człowiek jest drogą Kościoła”. Jest to tytuł wzięty z pierwszej encykliki Jana Pawła II *Redemptor hominis* (nr 14), a przywoływany jako swoiste tej encykliki motto. Przesłanie i przestroga Jana Pawła II są jasne: zagrożony mechanizmami współczesnej gospodarki jest nade wszystko sam człowiek; to jego bogactwo trzeba przede wszystkim wydobyć i ukazywać, by bronić go przed dehumanizującymi skutkami tej, skądinąd pożytecznej, gospodarki. Tak też Jan Paweł II widzi rolę uniwersytetów, zwłaszcza katolickich. Dał on temu wyraz w trakcie obchodów Jubileuszu Roku 2000, kiedy przypomniał rolę uniwersytetów w promowaniu humanizmu: humanizmu pełnego, nieulegającego pokusom redukcji człowieka do poziomu doczesnych, czysto konsumpcyjnych potrzeb⁶. Tak oto przechodzimy do końcowej partii rozważań, do krótkiej refleksji nad rolą uniwersytetów (zwłaszcza katolickich) w dobie globalizacji.

UNIwersytety (KATOLICKIE) WOBEC GLOBALIZACJI

Uniwersytet jest – jak wspomniałem – jedną z instytucji, które mogą wspomóc społeczeństwo (zwłaszcza młode pokolenie) w wykorzystaniu szans procesu globalizacji. Czyni to we właściwy sobie sposób: poprzez bezinteresowne i wytrwałe poszukiwanie prawdy oraz przysposobienie studentów do takiego jej poszanowania i poszukiwania. Jest rzeczą ważną, aby uniwersytet nie dał się wciągnąć w tryby globalistycznych zawirowań. Ważne, aby nie zrezygnował z właściwej sobie funkcji na rzecz „działalności koniunkturalnej”, polegającej na szybkim produkowaniu absolwentów pożądanym społecznie kierunków studiów, działalności realizowanej za cenę rezygnacji z podejmowania problemów głębszych, choć nie zawsze modnych. Uniwersytet jest i powinien być wymarzoną miejscem dla zdolnej i ambitnej młodzieży, szkołą myślenia, która uczy krytycznego dystansu do jawnie tendencyjnych komunikatów i do nazbyt prymitywnych komentarzy. Poszukiwanie prawdy – w jakiegokolwiek dziedzinie – pomaga dostrzec człowieka jako osobę: istotę rozumną, spełniającą się poprzez bezinteresowny dar z siebie samej⁷. Ukazanie wielkości ludzkiej osoby – czy to wprost, podczas zajęć z zakresu szeroko pojętych nauk o człowieku, czy też pośrednio, poprzez wydobywanie potęgi jego umysłu wobec różnorodnych

⁶ Por. J a n P a w e ł I I, *Starajcie się bronić prawdy, głosić ją i szerzyć* (Homilia podczas Mszy św. dla uczestników Jubileuszu Nauczycieli Akademickich, Rzym, 10 IX 2000), „L'Osservatore Romano” wyd. pol. 21(2000) nr 11-12, s. 9n.

⁷ Por. Konstytucja duszpasterska o Kościele w świecie współczesnym *Gaudium et spes*, nr 24.

tajemnic tego świata – stanowi cenną odtrutkę na różne dehumanizujące programy i wzorce zachowań.

Powołaniem uniwersytetów jest jednak również gruntowne podejmowanie problemów, które trapią świat współczesny, i proponowanie społeczeństwu ich przemyślanych rozwiązań. Jeżeli skandalem współczesności jest „trzeci świat” i niemoc w rozwiązywaniu jego problemów, to uniwersytety (zwłaszcza katolickie, które powinny być szczególnie uczulone na tak zwaną kwestię społeczną i dzisiejsze jej postacie) winny podjąć ten problem i szukać rozwiązań, znajdując inspirację w chrześcijańskim Objawieniu i w nauczaniu Kościoła. Cały proces globalizacji, naznaczony, jak wspomniano, szeregiem dwuznaczności oraz chaosem, zasługuje na gruntowną i krytyczną refleksję, której jeszcze – o ile mi wiadomo – nie podjęto na większą skalę. Oczywiście, byłoby naiwnością oczekiwać natychmiastowych efektów politycznych takiej refleksji. Prawdą jest jednak również, że bez jej podjęcia człowiek straci resztę kontroli nad procesem globalizacji i sprowadzony zostanie do bezmyślnego i nieważnego pionka w cudzej grze.